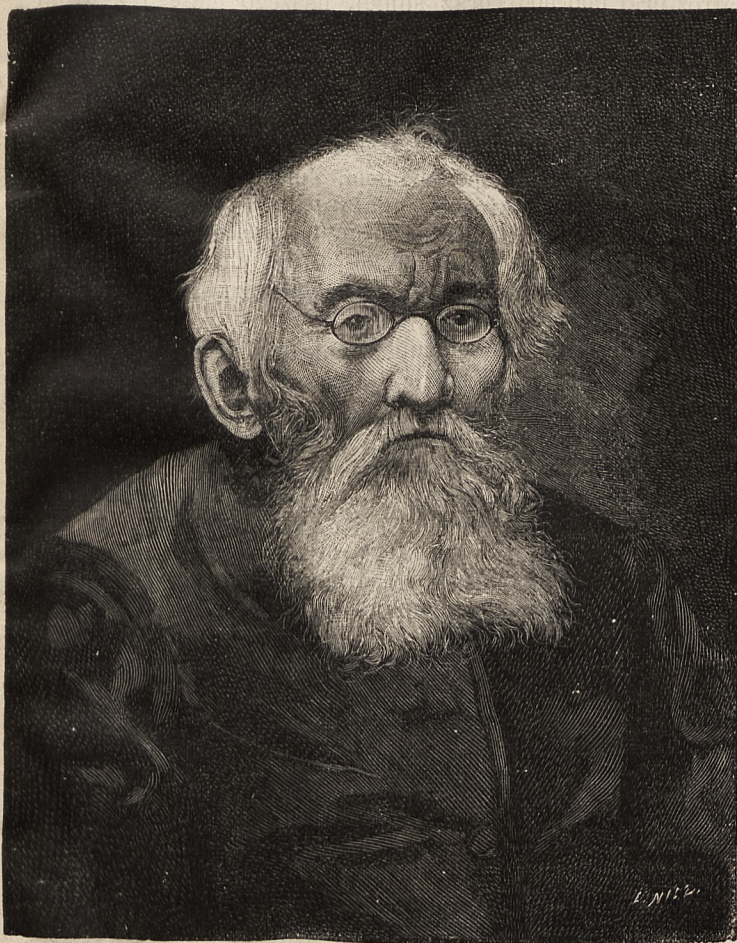




TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.



Antoni Waga.

Dnia 23-go listopada, nie chorując wcale, zgasł sędziwy i uczoney nasz przyrodnik, Antoni Waga, urodzony w r. 1799 w Grabowie, w guberni piotrkowskiej. Ukończywszy w roku

1817 szkołę wojewódzką ks. Pijarów w Warszawie, zaraz mianowany w niej został nauczycielem i w trzy lata potem wysłany za granicę dla odbycia obszerniejszych studyów przyrodniczych. Wróciwszy do kraju, ukończył jeszcze wydział filozoficzny w uniwersytecie warszawskim i następnie aż do wysłużenia emerytury, poświęcał się zawodowi nauczycielskiemu. Na Lesznie istniała wówczas szkoła „pedagogiczno-praktyczna” w której Waga wykładał nauki przyrodnicze, był też profesorem w rządowym instytucie guwernantek a w roku 1832 mianowano go nauczycielem gimnazjum w Warszawie i członkiem komitetu egzaminacyjnego.

Czynne to więc i pracowicie zajęte było życie, ale że Waga szczerze ukochał swój przedmiot, więc też „z własnej ochoty i przywiązania do nauki” (jak się wyraża ówczesny raport urzędowy) przedsięwziął w r. 1829, wspólnie z prof. Wojciechem Jastrzębowskim, badaczem i miłośnikiem przyrody, *pieszą* wędrowkę po kraju, i powtarzając ją potem co rok prawie, zwiedził kolejno znaczną część guberni augustowskiej, suwalskiej, siedleckiej i lubelskiej. Owocem takowych wycieczek było nie tylko zbadanie flory krajowej, ale jeszcze bogate zbiory nieznanych dotąd owadów, któremi głównie zajmował się zmarły profesor. Nauka entomologii dużo mu też zawdzięcza, tem więcej, że wysłużwszy emeryturę, jęł się zupełnie poświęcić, w czym mu dopomagali hr. Branickcy. Jeden z nich, wielki miłośnik badań przyrodniczych, zaproponował Wadze podróż do Afryki i 60-letni przeszło starzec puścił się w drogę w r. 1864, a przywiozłszy z tej wycieczki bogate pło-ny, powtórzył ją w r. 1866. Znaczna część okazów przywieziona przez niego z Afryki znajduje się we Frascati w muzeum hr. Branickich przy ulicy Wiejskiej.

Waga pisał wiele, wzorowym, poprawnym językiem, które to zalety pozwalają zaliczyć go do rzędu najlepszych naszych stylistów. Z licznych jego prac wymieniamy:

„O zwierzętach przez poetów i malarzy zmyślonych”, „Książka dla dobrego chłopca”, „Historia naturalna” i „Atlas do nauki historii naturalnej z 220 kolorowanymi rycinami” bo książki powyższe stanowiły dla trzech blisko pokoleń podręczniki naukowe lub pouczającą rozrywkę. Zasługuje też na uwagę rzecz specjalnie dla dziewcząt przeznaczona: „Teoria gospodarowania wewnętrznego, czyli zbiór wiadomości potrzebnych gospodyniom dla użytku instytutów żeńskich”, świadczy ona bowiem, jaką wagę przywiązywał uczony przyrodnik do należytej znajomości gospodarstwa, które jest nauką, opartą przede wszystkim na znajomości praw przyrody.

Po życiu w pracy spędzonym, starość miał czerstwą i czynną; ciągle ulubioną pracą zajęty, cieszył się aż do ostatniej chwili zupełną przytomnością umysłu, aż wreszcie „sył lat i sławy”, zakończył długi żywot, pozostawiając po sobie niezapomniane imię w nauce.

T. P.

MODLITWA.

Wiersz niedrukowany Stanisława Jachowicza, ze zbioru autografów hr. Przeddzieckich.

Na stopniach ołtarza dziewczeczka klęczała,
Pobożność anielska w jej oczach jaśniała,
I tylko głos czasem zabrzmiął przerywany:
„Daj zdrowie, daj szczęście babuni kochanej!”

Pytała matuli dziewczynka uboga:

— I czegoż panienka tak prosi u Boga?

Bogata babunia tej ślicznej panienki

Ma konie, pojazdy, ma piękne sukienki

Ma srebro, ma złoto, ubogim rozdaje;

A ona tu jeszcze prosić nie przestaje?

— To twoje pytanie nie dziwi mię, duszko,
Lecz własne niech za mnie odpowie serduszko,

Miłość się nie pyta o srebro, o złoto;

Kto kocha, to kocha, bo kochać jest cnotą.

Za lubyh kochanych, głos wznosim do nieba,

A komuż pomocy boskiej nie potrzeba?

Czy w lichy i wątły lepiance chróścianej

Czy tam, gdzie od złota połyskują ściany,

Wszędzie jest potrzebne do Stwórcy wołanie:

Bo nic się bez Jego rozkazu nie stanie.

Przy skarbach największych nieszczęsnym być może,

Kto Ciebie na pomoc nie wezwie, o Boże:

Tak, dziecię kochane, nie dziw się panience,

Co klęczy na stopniach w tej białej sukience,

I rączki pobożnie podnosi do Boga:

Gdybym też ja taka nie była uboga,

Lecz w złocie jaśniała, w karecie jeździła,

Czyżbyś się też za mnie także nie modliła?

— Modliłabym matko, modliła ze łzami;

— Więc widzisz, że serca są zawsze sercami.

W WIGILIĄ.

Wieczór nadchodził cichy, spokojny, majestatyczny.

Słońce, skrywszy już na zachodzie złocistą tarczę, pozostawiło tam jeszcze jasne, krwawe promienie, które jako zapowiedź silnego mrozu, obrzucały już ostatnim uśmiechem białe przestrzenie ziemi, pokrytej puszystym śniegiem; i cieszyć się zdawały, patrząc na iskrzącą purpurę, pożyczonego od siebie blasku. Na wschodniej części nieba gasły zwolna

mieniające się barwy fioletu i seledynu, ustępując miejsca szarym przezroczystym mrokom. Ponad ognistemi wierzchołkami drzew przeciągały sznurem wrony i kawki, przerywając przeraźliwym krakaniem spokój, zalegający całą naturę. Wiatr ustał. Stare sosny, brzozy, dęby i graby, przyobleczone w sukienki niepokalaną białości, zarumienione chwilowo jakby z zachwyty, podziwiając ten cudny zachód, przerwały nawet swą tajemniczą codzienną pogadankę, odkładaną na szarą godzinę, jakby i one społem z naturą i ludźmi gotowały się do godnego uczczenia tego wieczoru oczekiwania i radości wszechświata — wieczoru wigilii Bożego Narodzenia.

I cisza zapanowała wszędzie. Zda się anioł, zwiastun dobrej nowiny, przeleciał ponad tą krainą przysypaną śniegiem, tchnąwszy nań tchnieniem ukojenia, gdy oto na skraju drożyny kręto w las wiodącej, ukazała się jakaś mała czarna plamka, w miarę zbliżania się rosła, aż wreszcie przybrała kształty dziecka, samotnie idącego chłopczyny, któremu przecież musiało być gdzieś bardzo pilno, bo drobnymi ubogimi obutymi nóżkami prędko przebiegał po nieudeptanej jeszcze ścieżynce, a śnieg stwardniały od mrozu skrzypiał za każdym jego krokiem.

Chłopiec szedł szybko. Chwilami tylko zwalniał biegu jakby dla zaczerpnięcia oddechu, lub też wydobywszy czerwone piastki, wcisnięte w kieszenie wynoszonej już dobrze sukmanki, prostował je, chuchał w nie, poczem nasunawszy sobie więcej na oczy czapeczkę z poślódką dokoła barankiem, chował je napowrót, a rzuciwszy przed siebie bystre spojrzenie, które tonęło w zamykającej się perspektywie leśnej drożyny, przyspieszał kroku. Zwolna robiło się na dworze coraz ciemniej. Purpurowe smugi u wschodu znikły już całkiem na krańcach horyzontu, i mrok jał tulić w swych objęciach gąszcz leśny, jakby je najpierw do snu chciał ułożyć. Mróz brał pod noc coraz silniej, naszego małego wędrowca nie przerażał przecież ani mrok ani zimno. Gdy czasami podniósłszy głowę spoglądał w koło siebie, z ciemnych oczu tryskał mu spryt dziecinny i odwaga; zresztą nie miał i czasu zastanawiać się nad obawą — jego uwagę zajmowało tyle innych, tak całkiem innych myśli!...

I przebiegał wspomnieniem, śpiesząc tak drogą, całe swe życie, co choć krótkie, miało jednak tyle, tyle chwil różnych, smutnych, nad którymi mniej myślał, i szczęśliwych, które wyrwały mu się w pamięci na zawsze, a teraz, odezawszy się serdecznym echem, cisnęły łzy do oczu, i na usta wywoływały smętny uśmiech.

A przecież te wspomnienia Jędrusia, nie sięgają tak odległej epoki!... Niedalęj jak dwa lata żyła jeszcze jego opiekunka gwiazda na ziemi, matuś ukochana, a on chował się przy niej, w chacie, w której wzrósł od kolebki, i żył szczęśliwy, osłonięty tą miłością i staraniem, które w każdym stanie człowiek ocenić i odczuć potrafi, a które zapewnia macierzyńską opieką. Ze śmiercią też matki skończyło się dlań wszystko. Daleki, krewny który rościł sobie prawa do spadku z powodu że kiedyś pożyczył rodzicom Jędrusia trochę pieniędzy, objął chatę w posiadanie i znęcał się nad biednym sierotą w jak najcięższy sposób.

Jędrus długo znosił cierpliwie wszystkie udręczenia. Przez pamięć na zmarłą matkę żał mu było opuszczać starego domu, z którym wiązało go, tkliwe z natury serce, ale w końcu poczucie dumy dokonało, czego nie mogło dokazać gorące uczucie. Nowy gospodarz chaty i jego żona wymawiali mu wciąż lenistwo, choć Bóg widział, iż pracował, ile mu sił starczyło, i kiedyś nazwali go „darmozjadem”. Szlachetna natura dziesięcioletniego chłopca, zawrzała na to niezasłużone oskarżenie i odtąd powiedział sobie, że choćby najwięcej na tem cierpiał, to w domu dłużej nie pozostanie.

Widocznie czuwał nad nim anioł stróż, który to kieruje krokami wszystkich sierot na świecie. Będąc pewnego razu, jeszcze z polecenia krewnego w pobliskiej wiosce u kowala, usłyszał z jego ust pytanie czyby nie chciał przyjąć u niego miejsca „chłopaka”. Wówczas dał odpowiedź odmowną, ale skoro tylko uczynił postanowienie opuszczenia domu, przyszyła mu na myśl służba u kowala.

Na szczęście kowal nie miał jeszcze nikogo i niebawem Jędrus znalazł się w kuźni, ze skórzanym fartuchem przed sobą, jużto poruszając dziarsko miechy, już dosypując węgli do komina, lub przytrzymując szczypcami sztabę żelaza rozpalonego do czerwoności, która pod uderzeniem młotu majstra, sypała dokoła snopy złocistych iskier. Chłopak był gorliwym, silnym i zręcznym. Majster poznał się na nim, a że był pocziwym człowiekiem, więc mu też krzywdy nie robił.

Polubił nawet malca. Właśnie pół roku służby Jędrusia dobiegało, gdy oto nadeszły święta Bożego Narodzenia. Wszyscy we wsi obchodzili trzy dni świąt uroczyste, więc też i kowal chcąc mu dogodzić, pozwolił na trzy dni odejść do domu. Do domu!... Jędrusiowi ścisnęło się serce na te słowa. Nigdy, przez całe pół roku jak był na służbie, majstrowi nie przyszło na myśl zapytać swego małego pomocnika o dom i rodzinę. Cóż to go mogło obchodzić! I teraz więc pozwalając mu użyć świąt do woli, nie uczynił tego. Jędrusiowi zaś brakło sił zawsze wtedy, gdy mu chciał wyznać, iż dzisiaj on, prócz w jego kuźni, niema na świecie dachu. Stał jeszcze przed majstrem z bólem w sercu i spuszczoną na piersi głową, by ukryć oczy przepełnione łzami, gdy mu zabłysła jak promyk świetlany myśl nowa. Prawda, domu on już nie ma, bo nieludzkiego krewnego progów nie przestąpiłby za nie w świecie, ale ma przecież jeszcze swoją wioskę, gdzie chociaż nie razem z rodziną, milęj mu będzie przebyć te święta niż w obcej stronie. W wiosce zna każdą chatę, każdy płot i kamyk nieledwie; pójdzie stamtąd razem z innymi do małego parafialnego kościółka, dokąd to dawniej prowadziła go matuś za rękę i przed świętym obrazem uczyła wymawiać pierwsze słowa modlitwy... Najwięcej chodziło mu o wieczór wigilii. Być tam choćby w ten jeden wieczór, myślał sobie chłopczyzna, a potem choćby przyszło powrócić, to i nic więcej nie pragnę!... Będzie chodził pod oknami cichutko, żeby nie zamącić spokoju zebranym przy rodzinnej wieczerzy, i przechodząc, spojrzę przez małą szybkę do wnętrza swojej chaty. Jak też tam będzie? Czy jak dawniej, czy nie się nie zmieniło?!... Jędrus tedy postanowił pójść choćby dla tego, by spojrzeć przez szybkę do wnętrza swej ukochanej chaty. Po południu więc, zjadłszy jeszcze łyżkę postnej strawy, ubrał się w co miał najlepszego, pocałował majstra w rękę i wyszedł.

— Idziesz do domu? — zapytał go kowal, nim zamknął drzwi za sobą.

Kiwnął tylko głową, nie chciał skłamać, i aby ukryć rumieńce za przez pół wyrzeczone kłamstwo, zamknął drzwi coperdziej.

Miał przed sobą dobrą milę kopnąj drogi, a wiadomo iż w tej właśnie porze roku dzień jest bardzo krótki. I oto jakim sposobem zmierzch zaskoczył go wśród lasu, na połowie drogi do rodzinnego miejsca.

Jędrus tak był zajęty myślami, że długi czas nie, zwracał uwagi na zalegającą ciemność i wzmagający się mróz. Ale takich rzeczy nie zauważyć całkiem, niestety niepodobna, tembardziej kiedy się jest lekko i biednie odzianym. Wkrótce przyspieszył kroku w dwójnasób, bo wiedział że droga jeszcze i daleka i ciężka, a nielitościwie zimno zaczęło go przejmować przez lichą sukmanę, i z każdą chwilą bardziej paraliżowało mu swobodę ruchów. Najwięcej marży ręce i nogi. Ręce jeszcze jakoś chuchaniem mógł trochę rozgrzać, ale nogi bolały go dotkliwie. — To nic, próbował sobie mówić na pociechę, już niedaleko, a jak tylko wejść do wioski, to zrobi mi się ciepło. Toż to już z pół roku, bo od Bożego Ciała, jakim tam niebył! — Tem dodawał sobie otuchy i uśmiechał się do swych myśli, ale mimo wszystkiego zimno dokuczało mu coraz bardziej. Po chwili, chociaż biedz wciąż nie przestawał, ale jakoś ta ochota zaczęła go opuszczać. W miarę jak ziało, radość ustępowała, a zaczynał go ogarniać jakiś smutek przykry. Nagle zatrzymał się, rozejrzał, było już prawie ciemno.

Z dwóch stron drogi czerniły się drzewa niby zastępy olbrzymów, w których łonie nikła jasna, śnieżna drożyna; niebo przybrało ciemno szafirową barwę.

— Poco ja tam idę? — rzekł do siebie niemal głośno — poco ja idę — powtórzył ciszej — do kogo?!... Lekki powiew przeleciał, odpowiadając mu na pytanie szmerem strżasanego śniegu i jodłowych gałązek. Postać jeszcze chwilę i ruszył dalej. Lecz tym razem nie szedł długo. Kroki stały się coraz słabsze, niepewniejsze, aż ustały całkiem.

— A tom zmarł! — szepnął sobie znowu — usiądę sobie tu odrobinę i odpocznę, to mi się i nogi rozgrzeją, a potem jak się nie puszcze!... duchem zalecę...

Nie miał już snąć siły odejść dalej, bo tak jak stał na środku drogi tak przysiadł, opierając się tylko plecami o wał śniegu, którego tu więcej wiatr nawiał niż gdzieindziej. Skurczył się we dwoje, i położywszy skostniałe ręce na podkulonych kolanach, wsparł się o nie czołem i jał chuchać żarliwie. Trudno mu było z ich rozgrzaniem, ale po długich usiłowaniach był pewnym iż tego dokazał; jakieś rozrzewnienie go opanowało, zrobiło mu się dziwnie przyjemnie, zapomniał nawet o tem, iż przed chwilą jeszcze tak śpieszno mu było zdążyć do wioski na wieczór, i poddawszy się tej błogiej rzewności, utonął cały we wspomnieniach. Jakimś dziwnym sposobem stanął mu w myśli ostatni wieczór wigilijny przed dwoma laty, a wyobraził mu się z taką dokładnością, iż patrzeć zdawał się nań własnymi oczyma. I czuł zda się ten uroczysty spokój, jaki zapanował nad całem siołem, czuł ów niepojęty nastrój, mający coś wspólnego ze świętością, co ogarniał wtedy jego mieszkańców. W każdej chacie było ciepło i widno, a ściany i sprzęty lśniły czystością. Wówczas to i u nich na kominku buchał wesoły ogień, a matusia krzątała się po chacie, przygotowując do skromnego „pośniku”. Na białym stole poproszone było siano i stały talerze jak szkło czyste, a na jednym spoczywała paczka opłatków. Matuś łamała się niemi ze wszystkimi i gdy do niego przystąpiła, a on był czegoś smutny, rzekła łagodnie. — „Nie smuć się ty, Jędrusiu, a raduj, bo wieczór dzisiejszy wszystkim ludziom wesołość przynosi i szczęście. Dziś się narodzi Dzieciątko Jezus...” Jędrusia zdziwiły bardzo te słowa, to też zapytał:

— A czy i biednym ludziom szczęście przynosi?

— Jakżeby! Wszystkim — odparła. — Dziś niema ludzi biednych ani bogatych, bo wszyscy społem radują się i są szczęśliwi...

Potem zaprowadziła go do obrazka w kąciku izdebki, przed którym dzisiaj gorzały dwie woskowe świeczki. Jędrus jak dziś pamięta, co na nim było. Był malowany jaskrawymi kolorami, które przemawiały do chłopczyka wyobraźni, i przedstawiał ubogą stajenkę, a w niej pośrodku, w nędznym żłobku nowonarodzone dzieciątko. Matuś pokazała mu na nim wszystko po kolei i objaśniła, że to był mały Jezunio i święta Maryja i Józef i pastuszkowie. Jakiż to był śliczny obrazek!... Od tej chwili Jędrus wpatrywał się weń długo i często, i zachwycał się dzieciątkiem co tak pięknie się uśmiechało i wyciągało rączki, jakby objąć i utulić chciało świat cały do swej piersi. Teraz, w tej chwili tak to sobie właśnie dobrze przypomina, że choć przymknął oczy i siedzi skurczony w śniegu, zdaje mu się, że na niego patrzy. Mój Boże! myśli sobie, jacy toż to szczęśliwi byli ci pastuszkowie, co tak cudne, święte dzieciątko oglądać mogli!... Opanował go prawie jakiś zachwyt; skostniałe dłonie złożył jak do modlitwy i myślał dalej.

— Matuś mówili, że dziś każdy jest szczęśliwy i każdy radować się jeno powinien, toć i mnie może Bóg miłoserny nie dopuści zmarznąć na mrozie i doprowadzi do wioski, A i to dzieciątko co dziś się ma narodzić, nie da zmarnieć biednemu sierocie, i uchroni go od wszelkiego złego... — Tak sobie powiedziawszy, postanowił nawet wstać i ruszyć w dalszą drogę. Otworzył oczy, spojrzął w niebo na którym jedną po drugiej zapalały się złote gwiazdy i był pewny nawet, że już wstał i idzie. On przecież spuścił głowę napowrót i siedział wciąż w miejscu. Ten jaskrawy śliczny obrazek, co wisiał niegdyś w chacie, z coraz więcej ludzącą prawdą rozsnuwał mu się przed oczami, i pojąc dalej wyobraźnię świetnymi barwy, rozkołysał mu duszę czarem świętości, i echem drogich wspomnień. Nagle poruszył się niespokojnie. Jakaś jasność sil-

na uderzyła go tak, że nawet przysłonił wzrok dłonią i drżąc cały, zatopił go przed siebie. Z cieniów sosnowego lasu zwolna odkrywało się przed nim niby wnętrze ubogiej stajenki i przybierało coraz wyraźniejszą formę złudzenia. Na świeżym sianie w żłobeczku ujrzał, zupełnie jak tam, na obrazku, leżące święte dzieciątko, skąpane całe w tej nadziemskiej oślepiającej jasności. Tylko, że tamto spoczywało spokojnie, bo było malowane, i nie patrzyło tak słodko, jak to teraz swem jasnym, boskiem wejrzeniem wprost w oczy biednego Jędrusia. I patrzył jak mały Jezunio wysuwał się zwolna z rąk trzymającej go Maryi, idąc tak wprost ku niemu i nie przestając spoglądać nań tak serdecznie. Wielki blask słoneczny, oblewał jego złotowłosą główkę, a kiedy już stanął tak blisko, że Jędrus mógł Go ręką dosięgnąć, podniósł swe małe rączki nad kornie schyloną przed tą świętością i światłem jego głową. i rzekł słodko:

— Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą!...

Chłopczyna zacisnął silniej złożone dłonie i, załkał z radości. Uczuł się tak szczęśliwym jak nigdy jeszcze na świecie, ale dalej... nie już nie wiedział co się z nim działo.

* * *

(d. c. n.)

Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

Redakcja Wieczorów rodzinnych do Abrakadabrusa.

Warszawa dnia 10-go Sierpnia 1890 r.



Dostojny mistrzu!

Otrzymaliśmy już trzy listy od Janka sieroty, z opisami różnych ciekawości Atlanty, ale niepokoi nas zupełnie milczenie Waszjej Dostojności. Czyżby w zachowaniu się chłopca znalazło się coś godnego nagany? Z listów jego bardzo szczegółowych,

technących szczerością i pozwalających czytać w jego duszy jak w zwierciadle, nie podobnego domyślać się nie można — ale kto wie!

Może bez świadomości popełnił jaką niewłaściwość, nie licując z obyczajami wyspy i dworu i dla tego w opowiadaniu swoim pominął, boć stare nasze przysłowie „co kraj to obyczaj” sprawdza się pod każdym niemal stopniem długości i szerokości geograficznej. Przykroby nam było bardzo, gdyby Janek jako paź przyboczny nie przypadł do gustu królewiczowi, który tak łaskawym dla nas się okazał. Ufni w życzliwość Waszjej Dostojności, życzliwość jakiej mieliśmy już wymowne dowody, prosimy o kilka słów objaśnienia.

Czytelnicy Wieczorów rodzinnych, zasypują nas ciągłymi pytaniami co do położenia geograficznego wyspy Atlanty, której wytrwale choć bezskutecznie szukają na mapie. Pojmuje Wasza Dostojność jaki to nam sprawia kłopot; nie możemy zdradzić tajemnicy, której sami nie znamy. Zrazu odpowiadaliśmy im tak jak jest rzeczywiście, gdy jednak słowa nasze budziły ich wątpliwość i wywoływały nowe pytania, daliśmy odpowiedź taką jakiejś domagali się koniecznie, to jest pozwoliliśmy im się domyślać że to powieść. Może się prędzej uspokoją. Rzeczywiście bowiem jest to dla nich wszystko jedno, byle cel dla którego Wasza Dostojność czyniła tyle starań i dla którego Janek pojechał, to jest korzyść młodych czytelników, został osiągnięty.

Redakcja.

Abrakadabrus do Redakcji Wieczorów rodzinnych.

Marmurowa góra dnia 12-go Sierpnia 1890 r.

Szanowna Redakcyo.

Możecie być spokojni o Waszego Janka. Nic w jego zachowaniu się niema zasługującego na nagane, a choć stare przysłowie Wasze jest bardzo trafne, jednakże szczerść, prostota, szlachetność, na całej kuli ziemskiej jednakowe mają uznanie. Janek nie wiele mówi, ale umie patrzeć i słuchać i nie tylko słuchać, ale zdawać sobie sprawę z tego co słyszy, jak się o tem pewnie przekonywacie z jego listów. Patrzę ja na niego uważnie, choć on się tego nie domyśla. Widzę że wszystko czego się tutaj dowiaduje, otwiera w jego duszy nowe pojęcia, widzę ustawiczną pracę myśli na jego twarzy. Janek choć skromny i cichy, jest ulubieńcem całego dworu. Królewicza Zielonkę chwycił za serce tem że zdeptaną roślinkę podniósł i przywrócił do życia; królewiczową uczuciem z jakim śpiewał pieśń swego rodzinnego kraju; królewicza Pióropuszką zjednał nietyle znalezieniem żaby latającej, ile, nieprzyjęciem orderu, który słusznie należał się Tygrysowi. Każdy inny chłopiec byłby się może przed wszystkimi z tego chwalił, Janek milczał — i gdyby nie przypadkowe wyjaśnienie, niktby nie wiedział że on był znalazcą. Dwaj jego koledzy Viola i Albatros kochają go bardzo, a księżniczka Gori lubi się z nim bawić. Obowiązki pазia Janek pełni z zupełnem zadowoleniem królewicza, a godność posła nosi ze szlachetną dumą — ale bez chępliwości, przypisując otrzymanie nagrody konkursowej raczej szczęśliwemu trafowi, niż własnej zasłudze. Niewiem jakim był Wasz poseł zanim przybył na Atlantę, ale tu jego postępowanie odznacza się taktem przewyższającym często jego wiek młodzieńczy. Widocznie myśl że z niego wnioskować tu będą o całym narodzie, nie odstępuje go nigdy. Ach, gdyby wszyscy chcieli pamiętać że są częścią narodu, że ich wady rzucają na niego cień a przynosi blask, jakże kraje byłyby szczęśliwe! Przypuszczam że musi tu być dobrze Jankowi, bo kaszel jego cokolwiek złagodniał a blada twarzyczka zawsze jest ożywiona. Mam nadzieję że wkrótce pojawią się na niej rumieńce.

Wczoraj wieczorem siedziałem zatopiony w czytaniu moich ksiąg i rozwinąłem właśnie stary egipski papyrus, gdy posłyszałem szelest w przyległej komnacie, uchyliły się drzwi i zakwefiona postać niewieścia stanęła przedemną. Czekałem w milczeniu aż przemówi, a ona odrzuciwszy zasłonę, ukazała mi cudownie piękne oblicze, głęboką nacechowaną troską — w oczach nawet błyszczały łzy. Podniosłem się zdumiony, była to bowiem królewiczowa Jagódka.

— Moja kochana królewiczowa, tu o tej porze, sama jedna? — wyszeptalem.

— Drogi mistrzu — zaczęła głosem wrzuszonym — przyszedł do ciebie nie jako monarchini, ale jak twoja dawna uczennica do swego ukochanego przewodnika i nauczyciela, który mnie małą jeszcze dziewczynkę nosił niegdyś na ręku... z prośbą o radę... o pomoc w ważnej sprawie. Wysłałam z domu niepostrzeżona, w towarzystwie jednego tylko pазia, i nie chcę aby mnie tu widziano, bo sprawa jest pilna i nie można odkładać jej do jutra, a byłam przekonana że nikt tak dobrze nie spełni mego poselstwa, jak ja sama. Wszakże mi nie odmówisz! Nieprawdaż?

— Na Boga, co się stało? — spytałem zaniepokojony — uczynię wszystko co tylko będzie w mej mocy, ale racz usiąść najprzód miłościwa pani. Odpocznij i opowiedz mi o co chodzi.

— O nic... a raczej o bardzo wiele — odrzekła siadając na krzesło które jej podsunąłem. — Popełniłam omyłkę, drogi mistrzu, przez zbyt dobrych chęci... Chciałam uzdrowić człowieka, a ja w większą jeszcze wtrąciłam go chorobę!

— Pewnie mowa o chorym cudzoziemcu — odezwałem się — czyżby z nim było gorzej?

— Tak, i to z mego powodu: posłuchaj mistrzu. Wiać domo ci że ten człowiek cierpiał oddawna na uporczywą febrę, z powodu że chata jego stoi wśród leśnych moczarów z których parująca ciagle wilgoć, czyni to miejsce niezdrowem



Sprzedaż choinek za Żelazną Bramą w Warszawie.

i sprzyjającym gorączkom. Ja i mój mąż usiłowaliśmy go niejednokrotnie nakłonić do opuszczenia tego mieszkania, ofiarując mu dom nowy, wygodny, na innym suchszym miejscu, ale ofiarę naszą zawsze odrzucał, dla powodów o których już słyszałeś. Zielonko więc posłał mu *Eucalyptus* mający działać przeciwko febrze i sprowadził z Anglii rozsadniki *Elo-dei kanadyjskiej*, którą mu sam polecił mistrzu, owę dobroczynną roślinę osuszającą bagna i która też dobrze się przy-

jęła, choć trzeba czasu pewnego aby jej rozrost od powiedział celowi. Ale mnie przyszło na myśl, że skoro biedny dziwak nie chce tych stron opuścić, trzeba mu to schronienie uczynić jak można najmiłszym, bo jestem mocno przekonana że jedno wrażenie przyjemne, jedna myśl weselsza, jeden uśmiech, więcej wzmacniają organizm chorego, niż dziesięć gramów chininy.

— Bardzo słusznie — odpowiedziałem — medycyna ma

potężne środki do rozporządzenia, ale serce ludzkie, gdy je natchnie uczucie miłosierdzia, ma jeszcze potężniejsze...! Tam gdzie medycyna odchodzi pokonana i bezsilna, miłość bliźniego czyni cuda i wskrzesza niemal umarłe.

— A jednak mistrzu, omyliłam się! Mówił mi nieraz o balsamicznej woni drzew swego rodzinnego kraju, o aromatycznej trawie *żubrówce*, znaną w botanice pod nazwą *Hyrneola borealis*, rosnącą w puszczy białowieżkiej gdzie długo przebywał jako leśniczy, i o swojej za tym zapachem tęsknocie... Myślałam że będzie zdrowszy gdy go powiewy łąk rodzinnych owioną... i okręt Narcyz umyślnie popłynął po ową trawę do brzegów Bałtyku. Kapitan Tamarix doskonale się wywiązał z powierzonego mu zlecenia; przywiózł tej trawy wielką ilość w kilkunastu skrzyniach, wykopanej starannie razem z ziemią, i gdy cudzoziemiec leżał w gorączce, o Bożym świecie nie wiedząc, wysadzono roślinki w bliskości jego chaty, skrapiano je obficie wodą, a że korzenie ich były prawie nienaruszone, że trawa była w pączkach, więc wkrótce zakwitła, a aromatyczna woń żubrówki napełniła powietrze...

Zamilkła jakby jej ciężko było mówić dalej i odetchnąwszy głęboko zaczęła znowu.

— Chciałam być świadkiem jego radości i gdy mu do kół wstać pozwolił, wezwałam go przed chatę. Ciepłe promienie słońca zdawały się szczególną sprawiać mu przyjemność: siedział chwilę w milczeniu, a uśmiech, gość dawno niewidziany ożywił jego twarz. Nagle wiatr zawiął lekko od strony morza, cudzoziemiec pobałdł śmiertelnie i szepnął: „O Boże! co to jest? co się ze mną dzieje? Wiatr niesie mi woń żubrówki... Gdzie ja jestem? Jestże to powietrze mego rodzinnego kraju, a te długie lata cierpień, były tylko snem, snem ciężkim... Może moja żona nie umarła i moje dziecko żyje...! Ale nie, jam przecie przytomny... Boże! Boże! jakże mnie ciężko doświadczasz takim złudzeniem! Przeszłość nie wraca, a umarli z grobów nie wstają...!” I zaniósł się spazmatycznym płaczem którego parokszym trwał dwie godziny, niczem nie dając się uspokoić. Zrazu pomyślałam że ten wybuch bólesci podziela na jego serce, jak wstrząśnienie burzy działa na ciężką, przenikniętą elektrycznością atmosferę, oczyści je i uspokoi; myślałam że z potokiem łez spłynie reszta goryczy i nastąpi po niej cicha pogoda rezygnacyi, ale omyliłam się po raz drugi. Mój chory wpadł w apatię i znowu leży w gorączce. Posyłałam do niego nadwornego lekarza, ale lekarz tylko kiwa głową i wzrusza ramionami. Widzę że jest bezsilny. Ach mistrzu — mówiła ujmując moje ręce i ściskając je w swoich — ja chciałam dobrze zrobić, a źle zrobiłam! Pamiętając jak się ucieszył widokiem niezapominajek, które mu raz mąż mój posłał, sądziłam że to jest wskazówka jak z nim postępować trzeba, i że dalsze działanie w tym kierunku zbawienne wywoła skutki, tymczasem... Radź mi co czynić, ty co wiesz wszystko, coś zgłębił mądrość Wschodu i Zachodu, ty co znasz tajemnice ziół uzdrawiających, pomóż mi go ratować, wskaż czem go można wzmocnić i podźwignąć!

— Są cierpienia na które ziemia nie rodzi ziół uzdrawiających, moje dziecko — rzekłam głęboko zmartwiony. — Odesłaj go do jego rodzinnej puszczy i wróć mu, jeżeli możesz kogós z tych których utracił, a będzie zdrow.

— Niestety, to jest niemożliwe!

— A więc żadne zioła nie tu nie pomogą, bo to dusza boli.

— Ale czy chorą duszę nie można leczyć, wzmacniając ciało w którym ona przebywa? Starożytni przecież mawiali: „Zdrowa dusza w zdrowym ciele.”

Zamyśliłam się, szukając w głowie środków spełnienia życzeń szlachetnej królewiczowej, do której ze wszystkich jej sióstr, największą zawsze miałam słabość. Na Wschodzie nauczyłam się trochę sztuki leczenia, choć nie wiele jej używałam... Otworzyłam skrzatulkę w którą chowałam cenniejsze przedmioty, wyjął z niej woreczek zawierający kilkanaście niewielkich orzechów i podałam Jagódce.

— Co to jest? — zapytała oglądając je ciekawie.

— Cola — odpowiedziałam.

Królewiczowa wydała okrzyk radości.

— Cola! zawołała — to cudowna roślina, której sława w tej chwili rozbrzmiewa po całym świecie! Zkąd ją masz mistrzu?

— Przywiózłam ją z ostatniej mej podróży po świecie, z Sudanu, zatem z Afryki.

— Co za szczęście! Myślałam ciągle prawie o tej roślinie, zwłaszcza od czasu gdy poseł indyjski opowiadał o niej prawdziwe cuda. Gdyby chociaż połowa z tego co mówił była prawdą, jużby ją można nazwać błogosławieństwem świata, a ja jeszcze wyczytałam w gazetach mistrzu, że tym dla których życie tak dalece straciło urok, że własną ręką skrócić je chcieli, Cola usuwała przyczyny fizyczne tej moralnej choroby, budząc na nowo uśpioną energię. Jeżeli to prawda, mistrzu, Cola byłaby jedynym lekarstwem dla cudzoziemca, ale wiedziałam że zanimby została sprowadzoną na Atlantę, chorey ostatki sił wyczerpie.

— Te orzechy, są to nasiona Coli — przemówiłam — trzeba je utłuc na mąkę a następnie zmieszać z mlekiem i miodem. Będzie to napój smaczny, pożywny i podniecający. Niech go chory pije kilka razy w ciągu dnia. Można też proszek ten zamoczyć w winie. Nie miałem sposobności przekonać się, ile jest prawdy w tem co mówił o Coli Indyanin, ale wiem że to jest wyborny środek odżywczy, że wzmacnia czynności serca i wzmacnia odporność organizmu na wpływy atmosferyczne, może więc być bardzo pomocny w tej długiej, uporczywej febrze. Cola zawiera te same pierwiastki, co kawa i herbata, ale w większej ilości, zawiera zwłaszcza garbnik posiadający własności ściągające. Jeżeli woda którą chory pije jest szkodliwą, Cola najwięcej zanieczyszczoną uczyni przydatną do picia i przyjemną w smaku. Afrykanie żują w ustach świeże orzechy; smak ich jest najprzód słodki a następnie gorzki i ściągający. Te tu jednakże orzechy ponieważ straciły swoją świeżość, muszą być zamienione na proszek i podane w mleku lub winie.

— Dzięki ci drogi mistrzu — odrzekła chowając starannie woreczek — dziś jeszcze mój chory przed nocą będzie miał sporządzony napój. Sam Bóg natchnął mnie myślą przyjsia do ciebie! Bądź zdrow.

Odeszła. Zostałam sam i długo, długo myślałam o niej, co nie jak królowa, ale jak matka i siostra odczuwała cierpienia swoich poddanych, o tym nieszcześliwym człowieku i o kraju za którym tak tęsknił... Brałam kolejno księgi mędrców starych i nowych, szukając w nich lekarstwa na chorobę duszy, pytałam o radę filozofów, całego świata, i nic nie znalazłam. Otworzyłam Pismo Święte i oczy moje padły na wiersz następujący:

„Przyjdźcie do mnie wszyscy którzy obciążeni jesteście, a ja wam ulgę przyniosę...”

— Ach, gdyby on mógł się modlić!

(d. c. n.)

Korespondencya z Bretanii.

Daleko, daleko od was, drogie czytelniczki, we Francyi, istnieje kraina przezwana świętą, to malownicza Bretania.

Żyje tam lud pobożny, uczciwy, przywiązany do starych podań i zwyczajów, a szare, chmurne niebo rozciąga sine fale ponad krajobrazem poważnym, niemal dzikim.

W jednym kąciку świętej Bretanii leży małe, a urocze miasteczko. Ubogie domki tulą się jeden do drugiego, pod opieką wielkiego, nowego kościoła, z wysmukłą wieżą z daleka widzianą. W tem miasteczku istnieją ruiny starego zamku, na brzegu cichego, szerokiego stawu. Na tych ruinach widać wspaniałe ogrody i dom ich właściciela, do którego i staw ten należy. Poza stawem leżą obszerne łąki i winnice, a pośród nich bieleją drogi, gdzie od czasu do czasu wznosi się krzyż smukły i wysoki. Noc zapadła. Cicho zupełnie było

w miasteczku. Oddawna już praczki opuściły brzegi stawu, lekki wietrzyk tylko poruszał wierzchołki topoli i powierzchnię wody, w której odbijały się księżyc, baszty starego zamku i wieżyca kościelna. Wtem na drodze przeszedł spóźniony wieśniak i podniósłszy oczy ku zwaliskom z niemem uszanowaniem, odkrył głowę. Któż tam był? Wysoka jakaś postać w ciemnym ubiorze z głową otuloną śnieżną osłoną. Byłżeby to cień samą pani zamku, czy też zjawienie się jakiejś świętej? Istotnie była ona zarazem panią i świętą. Panna Teresa mogłaby prowadzić życie światowe, była cnotliwą, piękną i bogatą. Niejeden młodzian ubiegał się niegdyś o jej rękę, czemu odmówną zawsze dawała odpowiedź? Nie chciała rzec się posłannictwa swego, nie chciała opuścić rodzinnego gniazda i ludu pocziwego, dla którego była aniołem stróżem, ażeby żyć wśród tego świata zabaw i błyskotek, którym pogardziła. Przypjęła strój wieśniaczek, ciemne szaty i białe, przezroczysty czepiec, który nad jej czołem tworzył rodzaj dyademu lub aureoli. Poświęciła się w zupełności Bogu i bliźnim. Służyła najpierw rodzicom, potem siostrze i siostrzenicom, teraz zajmuje się dziećmi siostrzenicy. Nie chciała wiedzieć że obszerne posiada ziemie, zajmowała się nimi równie jak dobrami całej rodziny. Bo całej rodzinie służyła. Panna Teresa, która mogłaby jako pani rozkazywać, z rozkoszą żyła życiem posłuszeństwa. Posłuszną była zawsze nie tylko obowiązkowi, ale głosowi najzupełniejszego poświęcenia.

W kuchni, w folwarkach, przy dzieciach, wszędzie gdzie ktoś jej potrzebował, zajaśniał biały czepiec, i pod nim białe czoło, spokojne a promieniste oczy, łagodne a wesołe oblicze. Jakże umiała chorych pielęgnować, i uspokajać ich opowiadaniem lub modlitwą! Doprawdy, kto raz był przez nią pielęgnowany, ten pragnął znów u niej zachorować!

Pewnego wieczora, stała nieruchoma na wysokości wieży, wśród krzaków róż wszelkiego gatunku jakie rosły w tej części ogrodu. Myślała o gościach, którzy rano pojechali z cichego miasteczka do Paryża. Goście ci nie byli wcale jej krewnymi, ale należeli do rodziny męża jej siostrzenicy, dosyć to było by panna Teresa czuła dla nich uczucie siostrzane. Szczególne miała upodobanie do młodej panienki. Ona w Paryżu żyje, myślała, ale wiem że się jej nie podobają światowe uciechy, wiem że się rzekła ich, jak ja kiedyś, dla Ciebie o Boże i dla bliźnich! Srebrzysty dźwięk zegara kościelnego przerwał to rozmyślanie.

Zadrżała, i porachowawszy uderzenia, zawołała: Już dziesiąta! zapomniałam się! tyle mam jeszcze do czynienia! I lekkim, pośpiesznym krokiem podążyła ku domowi przez milczący, pachnący ogród. W domu wszyscy spali.

Panna Teresa otworzyła cicho drzwi swojej sypialni. Gdy mówimy *swojej*, zdaje się iż się mylimy, istotnie, można by nazwać ten pokój dzieciinną sypialnią. Dwie kolebki i jedno łóżeczko białe, każde ze śpiącym aniołkiem zajmowały najwygodniejsze miejsce, a pośród nich widać było wązkie łóżko także białe, lecz próżne jeszcze, łóżko panny Teresy. Zatrzymała się długo przed każdym dzieckiem, poprawiając poduszki, to pokrycie, spoglądając na śpiące aniołki z wyrazem prawdziwie macierzyńskiego uczucia i w końcu złożyła na każde różowe czołko gorący, długi pocałunek, kreśląc nad niem krzyżyk. Nareszcie, stanęła przed łóżkiem starszej dziewczynki, której była matką chrzestną, a patrząc na nią mówiła po cichu:

— Co będzie z tobą w życiu gołąbeczko ty moja? Jakiego losy Bóg dla ciebie zachowuje? Ja nie zobaczę twego lata pączku mój drogi! I pocichu westchnęła. Wtem jakby usłyszała słowa ciotki mała Marynia, poruszyła się przez sen i z koralowych jej ustek wysunęły się ciche wyrazy:

— Ja będę taką jak ciocia Teresa!

— Daj Boże, dziecinnie mojej tyle co mnie błogosławieństw, tyle co mnie szczęścia w spełnieniu powinności! — wyrzekła panna Teresa i czule pocałowała przyszlą swą naśladowczynię, siadła przy stoliku pokrytym papierami i przy blasku lampy zaczęła przeglądać liczne różne rachunki. Były tam rachunki dzierżawców i służby, i robotników, były wydatki różne dla domu na ubranie pani i dzieci, panna Tere-

sa która, dla siebie wydawała bardzo mało, cieszyła się gdy jej gołąbeczki ładnie były ubrane. Długo oddała się sumieniu tej uciążliwej pracy, późno w nocy wstała od stolika i ukłękła przed wielkim, drewnianym krucyfiksem, modliła się długo, ta prawdziwa zakonnica wśród świata, modliła się za rodzinę, za swoją Bretanię, za Francję, za wszystkich tych co kochała, a wiele ich było! szczególnież zaś za młodą Julię, co w Paryżu mieszkiała, za małą Marynię, co w kolebce spała, a obie miały żyć kiedyś jak ona. Westchnąwszy za wszystkich swych zmarłych, położyła się nakońiec, i usnęła snem błogim, by w nocy nieraz się obudzić, gdy które dziecko się poruszy. Jakby niańka jaka, nawet matka nie mogłaby troskliwiej czuwać nad dziećmi! Taka istota, to skarb dla rodziny, powiecie, a ja wam powiem że ciotka Teresa nie jest wcale zmyśloną postacią. Żyje ona w swej drogiej Bretanii, miałam szczęście przepędzić z nią chwil kilka w czasie wakacji i wiem że o mnie nie zapomina w swych modlitwach. W przyszłym roku jej Marynia przystąpi do pierwszej komunii, będzie to wielkie święto dla ciotki Teresy. Nie przeczyta ona nigdy tego co o niej do was piszę, ale rada będę jeśli zdołałam dać wam o niej jakieś wyobrażenie zgodne z prawdą. Takie dusze nie często w życiu spotkać można, umiejmy je więc należycie poznać i ocenić.

Jaskółka z nad Sekwany.

ZE WSPOMNIENIĘ MŁODEGO CHIŃCZYKA.

Wydane niedawno pod powyższym tytułem dziełko zostało wkrótce wyczerpane z księgarskiego obiegu w Ameryce, gdzie się najpierw ukazało.

Chińczyk Yau-Fu Lee, autor tej książeczki, wychowany od trzynastego roku życia w Ameryce, tak się zżył z nową swą ojczyzną, że pozostał w niej na zawsze, i w Nevhaven redaguje dziennik polityczny. Wspomnienia jego dzieciństwa są wiernym obrazem życia i uczuć młodych synów państwa niebieskiego, dajemy więc kilka z nich wyjątków sądząc że zajmą naszych czytelników.

Nie potrafię określić dokładnie daty mego urodzenia — mówi autor — gdyż rachunek czasu w Chinach zupełnie jest inny jak w Europie, miesiące nasze liczą się podług obrotów księżyca i są daleko krótsze, a lata rachują się od wstąpienia na tron panującego cesarza. Przyjście moje na świat w małym miasteczku położonem daleko na północ Kantonu, wielką sprawiło radość w całej rodzinie, która pragnęła zawsze męskiego potomka. Pod postacią bogatych ubiorów, klejnotów, i nóg wieprzowych sypały się dary i życzenia, które w miesiąc po moim urodzeniu składali krewni i znajomi, w dniu w którym dostałem imiona Lee będące rodzinnym naszym nazwiskiem i Yan-Fu to jest „Bogactwo z łaski cesarskiej” gdyż w Chinach nazwy podobne nadają dzieciom w mniemaniu że one szczęście przyniosą.

W zamian za podarunki, każdy z gości obecnych przy tej uroczystości, otrzymał kawał pieczonej wieprzowiny, jest to narodowa świąteczna potrawa w Chinach; niema uroczystości, czy to religijnej, czy rodzinnej któraby się bez niej obeszła.

Zdaje się że musiałem ujrzeć światło dzienne w porze zimowej, bo ilość odzieży którą mnie okryto zadusiłaby z pewnością w lecie każde dziecko! Na bawełnianą bieliznę dano mi jeden i drugi kaftanik, potem dwie suknie watowane; ogoliwszy potem głowę, zostawiono tylko jeden kosmyk włosów jako zadatek przyszłego warkocza.

Klimat w tej części Chin jest dosyć zimny; niema wprawdzie ani śniegu ani mrozu w zimie, ale powietrze jest ostre, domy zaś budowane w sposób zabezpieczający je jedynie przeciw upałom, nie posiadają ani pieców, ani kominów. Za nastaniem więc ostrzej zimnej pory, każdy rozgrzewa się grub-

szem ubraniem, które na siebie kładzie, i tak starsi jak młodzi dwa razy większą mają objętość w zimie jak w lecie.

Kołysek równie jak owych wózków tak wygodnych dla spacerujących dzieci, nie znają wcale w Chinach. Posiadamy natomiast przyrząd składający się z kwadratowego kawałka grubego sukna, haftowanego w dziwaczne wzory, opatrzone wstążką na każdym rogu. Matka lub niania bierze na plecy dziecko, które przywiązuje się owym suknem krzyżując wstążki na przodzie. W ten sposób można nosić wygodnie dziecko, oddając się swoim zajęciom. Miałem dwóch braci cokolwiek starszych odemnie. Podług przyjętego ogólnie zwyczaju mieszkaliśmy wszyscy u rodziców ojca. Dom ich był obszerny i wygodnie mógł pomieścić liczną rodzinę składającą się z kilku synów wraz z ich żonami i dziećmi. Miał kilka dziedzińców i podzielony był na dwie części. Pierwszą z nich zajmowali mężczyźni; znajdowała się tu wielka sala do przyjęcia gości, dalej były pokoje kobiet. W całym mieszkaniu nie było okien tylko drzwi, i otwory w dachu, któremi wchodziło powietrze i światło, zarówno jak deszcz i zimno. Umeblowanie wszędzie skromne, sofa, stół, kilka stołków i ławek, oto wszystko. W sypialniach znajdowały się łóżka z desek; bawialnią ozdabiała akwarele i napisy na ścianach, oraz czary porcelanowe na stołach, w ogóle zbytek jest rzeczą nieznaną w Chinach.

Babka moja zarządzała całem gospodarstwem, z pomocą synowych, niezamężnych córek i kilku służących. Ci ostatni co rano znosili zapasy zakupione w mieście, po długim i mozolnym targu z handlarzami. Przyrządzano je w ciemnej zakopconej kuchni, z której dym wydobywał się otworem w dachu. Mięso, jarzyny, wszystko krajano na drobne kawałki gdyż przy stole niema u nas noży, a widelce zastępują okrągłe patyczki; ryż jest głównem naszym pożywieniem i podaje się przy każdej innej potrawie. Kawa prawie nieznaną, za to herbata jest ogólnym napojem, zastępuje nawet czystą wodę, której nigdy nie pijamy.

Najszczęśliwszą porą życia dla Chińczyka jest niemowlęctwo, wtedy jedynie zadawalnają jego pragnienia, i nie skąpią mu pieczy; zaledwie wszakże cokolwiek podrośnie, musi słuchać starszych i traci wszelką swobodę, której nie odzyskuje jak w dużo późniejszym wieku. Przedewszystkiem wymagają od niego ślepego posłuszeństwa i uszanowania, nie dbając o przywiązanie. Chłopiec powinien poskramiać wszelkie oznaki wzruszenia i miłości, i okazywać się pełnym czci dla przełożonych, a godności względem niższych, nie może się odzywać dopóki do niego nie przemówią, ani usiąść bez pozwolenia; nie powinien wyjawiać przeciwnego zdania, ani się tłumaczyć gdy go łają. Nieraz ciężko zostałem ukarany za podobne przewinienie; pomimo niesłuszności kary nie wolno mi było na nią powstawać, ani się usprawiedliwiać aby jej uniknąć. Karność i poszanowanie dla władzy rodzicielskiej jest pierwszą u nas zasadą wychowania. Trzcina w każdej rodzinie zawsze gotowa, aby poskromić wszelkie wybryki.

Nie sądźcie po tem żeby Chińczycy byli okrutnymi; wierni są poprostu zasadom przekazanym im od przodków i zwyczajom, w których byli wychowani.

(d. n.)

SZARADA.

przez Ewę Maryę.

Pierwsza, trzecia, nigdy się inną nie okaże;
Czwartego z pierwszym, widząc, drżą wielcy zbrodniarze;
Oburza nas nikczemność w złości swój uparta,
Co, jak mówią, drugiego, pierwszego jest warta.
Drugi z trzecim zostawił poemat o śmierci,
Wszystko, zda się, aż w mózgu szczypie, kręci, wierci.

ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

ułożył Warszawiak.

Z następujących zgłosek: lin—kaj—das—stan—rat—bir—zem—a—sa—szczuk—dy—lew—dło—gar—a—berg—wel—szau—bel—ny—al—wę—wa—pie—a—ru—żysz—dzi—ra—in—da—pa—go—e—szta—mi—ta—tort—szpic—ci—bad—ny—do—non—la—kor—in—ha—fu—basz—o—ki—ułożyć wyrazy: 1. Miejscowość kuracyjna. 2. Półwysep w Azji. 3. Wieża obrotna. 4. Król zwierząt. 5. Farba roślinna. 6. Gatunek psa. 7. Wyrób cukierniczy. 8. Wódz tebańsk. 9. Wyspa na morzu Śródziemnem. 10. Syn Adama i Ewy. 11. Rodzaj paliwa. 12. Plemię afrykańskie. 13. Miasto w Bułgarii. 14. Miasteczko nad Niemnem. 15. Miasto przy ujściu Sawy. 16. Miasto nad Gaugesem. 17. Część uprząży na konia. 18. Wyspa na oceanie północnym. 19. Noszenie żelazne. 20. Góra w Armenii. Początkowe litery czytane z góry do dołu i końcowe w przeciwnym kierunku, utworzą nazwy dwóch pism warszawskich.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 48-go.

Zagadki:

T u m a k i.

Łamigłówni sylabowej:

1. Pekin. 2. Illimani. 3. Erie. 4. Czernichów. 5. Zanie-mysł. 6. Opole. 7. Nurzec. 8. Elba. 9. Gotard. 10. Opoczno. 11. Ług. 12. Aą. 13. Babelmandeb. 14. Kopernik. 15. Ir-wadi.

Pieczone gołąbki nie wleczą do gąbki.

KSIĘGARNIA

TEODORA PAPROCKIEGO i S-ki.

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT NR. 41.

Poleca następujące dzieła, świeżo wydane własnym nakładem,

	Rs.	k.
Amicis Edmund de. Na oceanie	1	—
Bert Paweł. Pierwszy rok nauczania	1	50
Historia naturalna w obrazach. Zoologia w 250 koloro- wych obrazkach, z tekstem Adolfa Dygasińskiego. Wy- danie wspaniałe, złożone z 25 chromolitografowanych tablic	3	—
Mantegazza Paweł, prof. antrop. Głowa. Książka dla mło- dzieży	1	20
Seignobos Ch. d-r. Historia cywilizacyi. Przełożył Adolf Dygasiński. Ze 177 drzeworytami w tekście	5	20

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Antoni Waga (z portretem). — Modlitwa, wiersz p. St. Jachowicza. — W wigilią opowiadanie p. V. Cairo. — Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Korespondencya z Bretanii p. Jaskółkę z nad Sekwany. — Ze wspomnień młodego Chińczyka. — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** Psy górskie (z drzew). — Ciocia Scholasia (c. d.). — Bocian i wrona. — Moje dzieci, opowiadanie jednej mamy p. A. Do. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Mała księżniczka z Tower-Hillu, przekład z angielskiego K. P.

MOJE DZIECI.

OPOWIADANIE JEDNÉJ MAMY,

p. **A. DO.**

(Dalszy ciąg).

— A cicho już! Dosyć tych pytań! Proszę jeść bo kto mięsa nie zje, legominy nie dostanie. Po tak strasnej groźbie umilkło bractwo świergotliwe; ale błogi spoczynek trwał kilka minut zaledwie; powoli, znowu zaczęły się sypać pytania, pełne związku jak poprzednie. Mama jednak przyzwyczajona już do tego hałasu, radziła sobie jak mogła, to odpowiadając raz na jedno z pięciu lub sześciu pytań, to nakazując milczenie, a w końcu wstała od stołu i wyszła do swego pokoju, co w podobnych chwilach zbytniej gadatliwości dzieci, bywa jej ostatnim ratunkiem.

ROZDZIAŁ II.

Goście. — Zabawa w szkołę. — Lekcja fizyki.

Po obiedzie, tata poszedł również do swego pokoju, a znając niebezpieczeństwo z doświadczenia, zamknął się przed malcami na klucz. Biedna mama, nie mogła w ten sam sposób zapewnić sobie spokoju, bo często bardzo z najrozmaitszymi interesami i pytaniami służące do niej przychodzą; to przynoszą karteczki od znajomych, na które odpowiadać trzeba; musiałyby więc co chwila wstawać, otwierać i znów zamykać. Lepiej już poddać się losowi. Dziś właśnie jakoś szczęśliwie okoliczności się złożyły: Jerzy zasiadł przy swoim stoliku, pisać list do „Wieczorów Rodzinnych”, korzystając z sobotniej rekreacji. Helenka pobiegła na ganek posłuchać kataryniarza, który precudne wygrywał melodye, a potem miała zaproszenie na podwieczorek do cioci Zosi. Staś przypomniał sobie w porę jeszcze, że zadanie dla nauczycielki zaledwie rozpoczął, z gorączkowym pośpiechem zabrał się do pisania. Tak więc można było rachować przynajmniej na godzinę niczem, niezamąconej ciszy. Godzina ciszy. Dla pustelnika co w głębi lasów pędzi życie pobożne, to krótka chwila, mała część dnia, poświęcona rozmyślaniu i modlitwie. Ale dla kogoś, co w gwarze i hałasie całodziennym nie może znaleźć chwili spoczynku dla zmęczonego umysłu, taka godzina ciszy jest nieocenionym skarbem i radością. To też mama uszczęśliwiona darowaną godzinką, postanowiła prawdziwy bal sobie wyprawić. Najprzód usiadła na wygodnym fotelu, i zamknawszy oczy, siedziała cichutko cały kwadrans. Myślicie może, że spała? Bynajmniej; tylko poświeciła ten kwadrans, na wypoczynek oczom, uszom i myślom. (Jak wyrośnięcie, i same gospodarstwo i dzieci mieć będziecie, to nieraz przyjdzie wam na pamięć kwadrans wypoczynku dla ciała i duszy.) Potem... o! potem tylko wybierać trudno było, masę rzeczy miłych dla siebie lub potrzebnych dla domu miała mama ochotę robić, skończyło się na pisaniu listu do siostry, która od niedawna zamieszkała w Warszawie, z jedenastoletnią córeczką Alinką. Gdy piszemy do kogoś kochanego, myśli tak się cisną do głowy tłumnie, że ręka służyć im nie nastarczy; to też dwa arkusze gęściutko zapisane po kilkunastu minutach leżały na biurku. W całym do-

mu spokojniutko, jakby makiem zasiał... ach jak to miło! Nie myślcie jednak dzieci kochane, że ten gwar i hałas jaki młode wasze lata niezbędnie otaczać musi, jest przykrym i nieznośnym dla rodziców! Oni się cieszą patrząc na wesołość waszą słuchając figlów, i najrozmaitszych wykrzykników. Tylko... każdy wiek ma swoje prawa. To co stanowi treść życia waszego, czem natura rozwój nasz fizyczny ułatwia: żywość ruchów i głos trochę przeraźliwy, którego jeszcze miarkować nie umiecie, wszystko to starszych męczy trochę. I dlatego kaźda mama ucieka czasem przed wami, tata na klucz się zamyka, a jednak... gdyby im kto obiecał miesiąc spokoju, pod warunkiem, że przez cały ten miesiąc widzieć was nie będą... zaręczam wam dzieci drogie, niema na świecie mamy, która by przystała na podobny warunek.

Napisawszy więc list do cioci, przeczytawszy kilka rozdziałów bardzo zajmującej książki; mama wstała i poszła się dowiedzieć, co z dziećmi się dzieje. I ot, jak na zawołanie, krzyk bolesny uszy jej uderzył: był to biedny Staś, który, przy swęj trochę mazgajowatej naturze ma jeszcze dziwne jakieś niezgrabne nogi. Biegać lubi i wyskakiwać, a niema dnia żeby guza nie nabił. Dziś znowu, miał jakiś interes do kucharki, biegnąc przez ganek potknął się na równej drodze i głową o krawędź szafy uderzył. Bolało go bardzo i byłby może długo w niebogłosy zawodził, gdyby nie to, że ma bardzo dobre i czułe serce. Widząc mamę bladą i przerażoną, w jednej chwili przestał płakać, i zapewniał ją że go już prawie nic nie boli. Wiktusia przyniosła szmatkę w zimnej wodzie umaczaną, mama sama owiązała główkę i zaprowadziła biedaka do swego pokoju, gdzie jest w biurku pewna tajemnicza szufladka, a w niej karmelki i cukierki, na pociechę w ciężkich utrapieniach przez mamę wydzielane, a które dzieci plasterkami na rany nazywają.

(d. c. n.)

SZARADA.

Ułożona przez Janka dla Lilly.

Pierwsze i drugie sprzyjają poecie,
A trzecie znajdziesz w naszym alfabecie;
Wszystko jest sztuką — każdy ci to powie
Zgadnijże Lilly, jak się całość zowie?

REBUSIKI.

róż	100	li	paścią
ni	100		prze

a a a a a a		o o o o o o
a zony a	sq	o da o
a a a a a a	peł ne	o o o o o o

ROZWIĄZANIA DO N-ru 47-go.

Zagadki:

K i e l c e.

Rebusika:

Wigilijny nadchodzi wieczór.

Skrzynka do listów.

P. J. S. w Odessie. Powiastka o piesku nie przyda się dla nas. Tłómaczeń nie potrzebujemy. Co do ostatniego pytania to odpowiedzieć możemy tylko, że potrzeba nielada wprawy i talentu aby za podobną pracę pobierać zapłatę.

P. Anieli B. w Dobkiszkach. Kwartał posłany, opłacony wszakże nie jest.

Sarence z nad Bałtyku donosimy, że nazajutrz po doręczeniu do Kurjera jęj przesyłki, ogłoszono wiadomość o zwinięciu ogrodu zoologicznego i sprzedaży pozostałych zwierząt.

Porankowi majowemu. Czy Janek sierota tęsknił za krajem, to się okaże w następnych jego listach, które leżą w naszej Redakcyi, czekając na swoją kolej, mamy bowiem wiele innych rzeczy do pomieszczenia w Wieczorach i nie możemy całego numeru poświęcać Jankowi. Dla tego to listy otrzymane z Atlanty w sierpniu drukują się dopiero teraz. Nie godzi się jednak wątpić, aby ktokolwiek przywiązany do ziemi rodzinnej, mógł do niej z obczyzny nie tęsknić, ale drukujące się obecnie listy Janka, pochodzą dopiero z pierwszego tygodnia jego pobytu na wyspie, gdy chłopiec oszołomiony widokiem nowych ludzi, nowych rzeczy, wreszcie nowością własnego położenia, nie miał jeszcze czasu zastanowić się głębiej nad samym sobą. Cierpliwi dowiedzą się powoli wszystkiego.

Paproć Mazowiecka niech przeczyta odpowiedź Redakcyi daną *Balladynie* w Nr. 38 *Wieczorów*, a dowie się w niej tego co wiedzieć pragnie.

Nie pamiętamy, **Rybko z Teterowa**, abyśmy list od ciebie odebrany zostawili bez odpowiedzi: widocznie nas nie doszedł. Wyobrażamy sobie z łatwością, jakiem szczęściem przejmuję was powrót do zdrowia matki waszej i wraz z wami cieszymy się szczerze. Sędziwa staruszka, Rybka, ucieszyła nas obietnicą korespondencyi, jaką wybiera się nam posłać najmłodszy braciszek, niecierpliwie czekamy chwili, w której przyobiecany korespondent nauczy się trudnej sztuki pisania. Gołąbka prosi także o dotrzymanie obietnicy; w ostatnim numerze doniosła wam, że znnowu powróciła do miłych jęj zajęć.

Zyczeniu Jutrzenki i Pszeniczki chętnie zadość uczyniliśmy.

Niezapominajka z nad Warty przysłała tym razem dobrze rzucony homonim. Bardzo chwalimy powzięte przez ciebie postanowienie surowego sądzenia własnych utworów, bo z natury rzeczy wypływa, że prace młodocianego umysłu nie mogą być zupełnie dobrami. Łatwość zaś pisania jest jedną z oznak talentu, ale sama przez siebie talentu jeszcze nie stanowi i dlatego też do wierzać jęj nie można. Znamy osobę, dużo dzisiaj pisującą, której mówiono, gdy dziewczeczką będąc, brała się do pióra: „Lepiej się nauczyć i piec placki, niż pisać pod placki”. Wtedy jęj się to wydawało nieledwie tyranią, dziś dopiero rozumie ile w tém napomnieniu było słuszności, tembardziej, że jedna z tych umiejętności bynajmniej nie wyłącza drugiej.

Szara ptaszyna z Podola zapytuje, czy w naszym języku istnieje wyraz „bryzgac”? A jakże! czasownika tego używali najlepsi nasi pisarze i za ich przykładem śmiało iść można.

Pseudonym **Gwiazdy Poranniej** wciągnięty już został do listy pseudonymów, obejmującej imiona stałych naszych korespondentów. Przyjemnie nam jest widzieć, że się ona powiększa z dniem każdym rozszerzając miłe nam gronko tych, którzy się do nas zwracają z serdecznemi słowami.

Drogi moje: **Kometo**, **Biała Perełko** i **Jaskółko z nad Ussy**. Wróciwszy z miłej wakacyjnej wycieczki; zastałam twój liścik miła Kometo, zaciekałam on mnie bardzo, ale się domyśliłam, że jesteś M. Sz. i wiesz o mnie, od mojej ciotki, od której ja wiedziałam o tobie. Chciałam dawniej napisać do ciebie, aleś mnie uprzedziła. Nie zniechęcaj się, mojem długiem milczeniem i napisz mi coś więcej o sobie. Jak wyglądasz, którą z nauk, najlepiej lubisz i gdzie obecnie mieszkasz? Nie wiem doprawdy najdroższa Biała Perełko, jak do ciebie pisać, tak mi wstyd, mego długiego milczenia. Po mnóstwie

rozmaitych wyjazdów, teraz zaledwie pisać mogę, nie gniewaj się więc na mnie i odpowiedz mi. Jaskółko droga, *Piszczalka* z nad Ussy nie mieszka już ze mną, ale przesyła ci serdeczne pozdrowienie. Ściskam Was wszystkie trzy najserdeczniej. Wasza *Susna Polska*.

Kochana Czarnotko! Przeczytawszy twe miłutkie liściki; do Jerychońskiej Różyczki i Cieciorczki, powzięłam chęć napisania do ciebie słów kilku. Nigdy nie byłam w Słucku, lecz mię ta okolica zajmuje, bo mam w niej krewnych, a mój ojciec majątek z kościołem parafialnym. Zgadnij kto jestem i jak się nazywam? Może się kiedyś poznamy, tymczasem donoszę ci, że mam własny ogródek i bardzo lubię kwiatki; mam też dwa kanarki, dwie kaczuszki indyjskie, kłaczkę i muliczkę; lubię także naukę, czytanie, muzykę i robótki. Odpisz mi, to znów napiszę do ciebie; tymczasem przyjmij serdeczne uściśnienia od dziewięcioletniej *Wiewióreczki Inflantskiej*. Jak się nazywa miejsce twego zamieszkania?

Kochane moje: **Niezapominajko z nad Warty**, **Amazonko Podlaska**, **Jaskółko z nad Ussy**, **Mitko Ł.** i **Stokrotko z nad Stochodu!** **Niezapominajko miła**, serdecznie za łamigłównę dziękuję ci liścik ci przesyłam. **Amazonko kochana**, znam ciebie, i wiele o tobie słyszałam, lecz pewnie na moją osobkę uwagi nie zwróciłaś. **Jaskółeczko** i **Mitko**, **Ninusia** wam uściśnienia przesyła, a ja waszej pamięci się przypominam. Tobie droga **Stokrotko** serdeczne uściśnienia z prośbą o liścik zasyła *Niezabudka Czeska*. **Figlarce**, **Psotnicy** i **Jaskółce z nad Sekwany** czule pozdrowienia.

Mile moje: **Wiocno** z pod Lublina i **Niezapominajko z nad Warty!** Odpiszcie mi, bo pragnę poznać i się z wami, przeczytawszy wasze powiastki. Mam lat trzynaście, mieszkam na Podolu, jestem wysoką blondynką o niebieskich oczach i najstarszą z czworga rodzeństwa. Od roku niespełna czytuję *Wieczory*, które bardzo mię zajmują, szczególnie: „z Wyspy Atlanty”, „*Druga Matka*” i „*W Indjach*”. Donieście mi co o sobie. **Kochany Kwiatku Paproci**, zgadnij kto jestem? Znam ciebie dobrze z opowiadania. Dlaczego tak rzadko pisujesz do Redakcyi? Powiedz mi, proszę, czy **Biała Myszka**, jest to pseudonym twój młodszej siostry? Rzadko widuję pannę H. gdyż nie wyjeżdżamy z domu. Ściskam cię, prosząc o jak najprędszą odpowiedź. *Bluszcz*.

Kochana Stokrotko z nad Stochodu i **Sosenko!** Przepraszam cię **Stokrotko**, że długo nie odpisywałam, donoszę ci teraz, że na imię mi **Zofja**. Proszę nie gniewaj się i pisuj do mnie nadal. **Sosenko** droga! Przeczytawszy twą miłuchną odezwę, pragnę do ciebie pisywać, a może zaprzyjaźnimy się; donieś mi tymczasem bliższe o sobie szczegóły. *Mazurka z nad Narwi*.

Kochana Jaskółko z nad Ussy! Wyczytałam w *Wieczorach*, że otrzymałaś nagrodę, której ci szczerze winszuję. Czy ci się podoba powieść „*Druga Matka*”? mnie bardzo zajmuje. Podobna mi się w niej **Madzia**. Czy zgadniesz kim jestem? bo ja cię znam dobrze. Jak się ma **Muszka**? Dawno widziałas **Maniusia** i **Kotka**. Twoja *Litwinka*.

Donoszę ci, **Niezapominajko z nad Warty**, że mieszkam w ks. **Poznańskim** na wsi, od roku jestem na pensyi, przedtem uczyłam się w domu przy nauczycielce, mam imię bardzo brzydkie, zgadnij jakie? **Jaskółko z nad Sekwany**, bardzo mi przyjemnie, że jestem ci znaną, chociaż z opisu i ty również nie jesteś mi zupełnie nieznaną. **Biała Perełko**, czy nie jesteś czasem **Walunią Pruszką**? jeżeli tak, to cię znam bardzo dobrze. **Mieszkasz** w okolicy **Żytomierza**, nieprawdaż? **Cezaryno** i **Liljanno** nie wiem zkąd, ale czuję do was wielką sympatię, donieście mi co o sobie. **Poranku majowy**, dziękuję za szaradę, odpisałam ci dawno, ale liścik jeszcze nie wydrukowany. *Filaretka*. **Kuropatewko z nad Ikopetiu**, ściskam serdecznie.

Droga Palermitanko! Zaciekałam mię twój pseudonym, donieś mi czyli rzeczywiście mieszkasz w **Palermo**? **Cicha Wodo**, z twych liścików do czytelniczek **W. R.**, dowiedziałam się, iż nie masz szczęścia do nich, jeżeli chcesz, korespondujmy ze sobą, donieś mi, imię i wiek twój, i czy jesteś tak „cichą” i spokojną. Posyłam wam serdeczne uściśnienia, które przyjmijcie obiedwie od waszej, *Gołąbki-Paproc*.

P. S. Załączam pozdrowienia dla małej **Brzydotki z nad Tamizy**, **Czarnookiej**, donosząc, iż nie należę do konkursu, bo w tym czasie 15 rok skończyłam, posyłam więc pozdrowienia „staruszkom,” bo teraz należę już do ich rzędu.



PSY GÓRSKIE.

— Tatusiu! tatusiu! — wołał Kazio — kup mi takie-
go psa, abym mógł na nim jeździć, jak ten chłopczyk na
obrazku.

— Pokażże mi, chłopcze, ten obrazek.

Kazio poskoczył i przyniósł ojcu książeczkę z takim
samym obrazkiem, jak ten, który wyżej umieściliśmy.

— Jaki ten chłopczyk szczęśliwy — wołał Kazio. —
Ja nieraz próbowałem jechać na naszym Burku, ale nie
mogłem utrzymać się na nim.

— Bo pieski lubią biegać, skakać, ale nie lubią
dźwigać ciężarów, choćby takich, jak ty.

— A ten piesek na obrazku tak spokojnie stoi?

— Gdyby ten pies był nie malowany ale żywy, nie
wiadomo, jak długo zechciałby dźwigać chłopczyka na
grzbiecie. Jest to wprawdzie silny pies, daleko wyższy
od Burka.

— Taki duży?

— Trochę niższy od ciebie, Kaziu.

— Doprawdy, nigdy takiego dużego psa nie wi-
działem. Lecz jeśli nie mogę na nim jeździć, cóż mi po
nim? Czy on gryzie dzieci?

— Nie, jest to pies bardzo łagodny, zowią go psem
z góry św. Bernarda, albo po prostu Bernardem.

— A dla czego tak go nazywają, tatusiu?

— Bo głównie w tych górach przebywa. Ty, Ka-
ziu, gór jeszcze nie widziałeś.

— Owszem, tatusiu — przerwał Kazio — mama po-
kazywała mi w ogrodzie Saskim pagórek, koło sadzawki,
i mówiła, że pagórek jest taką małą górką. I to w takich
dużych, dużych jak cztery, nie, jak dziesięć razy pagórek
z ogrodu saskiego, żyją te duże psy, Ber... Ber... — tu
przerwał, nie mogąc przypomnieć sobie nazwy psa.

— Bernarda — dokończył ojciec. — Tak, Kaziu;
góry św. Bernarda są bardzo wielkie, zimą pokryte gru-
bo śniegiem, tak grubo, że duży człowiek schować się
w nim może. Otóż, zdarzało się czasem, że szedł sobie
piechotą po górach jaki podróżny, wśród białych śnie-
gów zgubił drogę i błąkał się tak czasem dzień cały, zzię-
bły, zgłodniały, aż wreszcie ze zmęczenia ustawał, iść
już nie mógł i zmarł nieraz wśród śniegu.

— O biedny, nieszczęśliwy podróżny — zawołał
Kazio. — Ja, tatusiu, nigdy nie chcę w zimie podróżować
piechotą.

— Otóż, wyobraź sobie Kaziu, że taki pies górski
nieraz życie uratował podróżnemu. Bo na najwyższej
górze, zbudowano wielki klasztor, a mieszkający w nim
zakonnicy postanowili sobie ratować zbłąkanych w zi-
mie biedaków. Codziennie wypuszczali z klasztoru takie
psy i wiązali im u szyi dzwonek i butelkę z rozgrzewają-
cem winem lub wódką. Otóż zmyślne te zwierzęta,
u których węch, jak u wszystkich w ogóle psów, jest bar-
dzo rozwinięty, umiały zawsze natrafić na ślady ludzkie,
nieraz wygrzebały ze śniegu skostniałego wędrowca
i głośnem szczekaniem wieść o nim dawały zakonnikom,
którzy, opierając się na długich kijach, przebiegali stoki
gór. A jaką radością napępniało wędrowców szczeka-
nie tych psów! Były to dla nich zwiastuny odpoczynku,
zbawienia, bowiem pocziwe zwierzęta doprowadzały
podróżnych do klasztoru, gdzie gościnni zakonnicy kar-
mili ich, poili i na nocleg oddawali im ciepłe pokoje
i wygodne łóżka.

— Ach, jakże chciałbym mieć takiego psa, tatusiu.
A jaką sierść one mają? — zapytał po chwili.

— Sierść ich jest długa, miękka; zwykle są białego
koloru, a na grzbiecie i na łbie pomarańczowo brunatna;
lecz jak widzisz na obrazku psy te mają pysk biały,
z wierzchu cienka biała linia przez łeb przechodzi, sięga-
jąc karku.

Kazio podziękował tatusiowi za opowiadanie o psach
z góry św. Bernarda. Już odchodził, gdy nowe zapytanie
przyszło mu na myśl.

— A gdzie są te góry, tatusiu?

— W kraju w ogóle bardzo górzystym, zwanym
Szwajcaryą.

— Tatusiu, pojedźmy tam, zobaczyć pocziwe Ber-
nardy.

Ojciec uśmiechnął się,

— Nie potrzebujemy po to tak daleko jeździć, tu
w Warszawie pokażę ci przy sposobności takiego psa.

— Ach jak to dobrze, tatusiu, jakże się tem cieszę, i skacząc wybiegł Kazio z pokoju, a przedtem uściśkał swego kochanego tatusia, dziękując za obietnicę.

CIOCIA SCHOLASIA.

(Dalszy ciąg).

Ciocia Scholasia, była to daleka krewna mamy Niuni, osoba już niemłoda, lubiąca bardzo swój cichy pokój, w którym miała tak wszystko systematycznie poustawiane, tak każda rzecz przeznaczone miała dla siebie miejsce, że mówiono: iż u cioci Scholasi w pokoiku, jak w pudełeczku. Łatwo się domyśleć, że kto tak lubi porządek, to musi nie lubić, aby mu porządek ten naruszono. Znali to wszyscy, i szanowali upodobanie cioci, i tylko jednej Niuni, zdarzało się czasami, nie pamiętać o tem upodobaniu, a jak mówiła potem, zupełnie „niechcący” wyjęła pończoszkę z koszyczka, położyła w innym miejscu okulary, a ciocia szukając tych przedmiotów mówiła:

— Oho, już tu Niunia gospodarowała.

I teraz wbiegła do pokoiku z wesołą minką, i le dwie drzwi otworzyła, zawołała:

— Dzień dobry cioci! mamusia prosi na śniadanie.

Ale nikt jęj nie odpowiedział, i Niunia spostrzegła że cioci niema w pokoju, tylko Mruczuś siedział na fotelu, i powitał dziewczynkę mruzeniem.

— Aha, ciocia w kościele, domyślałam się tego — rzekła Niunia głośno — to dzień dobry tobie Mruczusiu, cóż to, nie witasz się ze mną? wstydz się, już znów jesześ niegrzeczny. Patrz jak robić należy:

I dziewczynka wzięwszy paluszkami za fartuszek, dygnęła przed kotem.

Wtedy Mruczuś, przeciągnął się na fotelu, ziewnął i zeskoczywszy, otarł się o sukienkę Niuni.

— Ach, jak u tej cioci Scholasi zawsze jednakowo w tym pokoju — mówiła Niunia biorąc kota na ręce — prawda Mruczusiu, że to strasznie tak nudno, jabym to zaraz przemieniła. Tu, w tym koszyczku, zawsze pończocha, bawełna, na stoliku okulary, za kotarą łóżko jednakowo wiecznie posłane, a tu pantofle z kokardkami, stoją jakby wrosły. Albo i ta spódniczka ze szlakiem, wisi i wisi w kąciku za szafą, już nawet nie wiem, czemu nie w szafie. Aha! jest coś nowego! — wykrzyknęła Niunia rzucając kota na ziemię, i poskoczyła do łóżka. — To widocznie jakiś czepek ogromny, doprawdy czepek, tylko nie wykończony. O, tu są tasiemeczki, to pewnie się ściagnie, i robi się czepek.

I Niunia pochwywszy czepek, związała w jednym miejscu tasiemkę i włożyła na głowę.

— W tym czepku pewnie jestem podobna do cioci Scholasi — mówiła idąc do lustra, zawieszzonego w rogu pokoju nad stolikiem. — Chodź Mruczusiu, przyjrzyj mi się, prawda, że zupełnie jestem jak ciocia Scholasia? Ale trzeba jeszcze włożyć okulary, pantofelki, to doprawdy, nikt mnie nie pozna.

To powiedziawszy, pobiegła za kotarę, włożyła cie-

płe bambosze na nogi, podciągnęła ze szlakiem spódnice pod fartuszek, wzięła z koszyczka pończochę, i siadłszy na krzeselku prowadziła dalej rozmowę z kotem.

— Widzisz, Mruczusiu, teraz jestem zupełnie jak ciocia Scholasia, wiem, że niktby mię nie poznał. (str. 197).

Ale Mruczuś widocznie nie był zadowolony z tej przemiany, bo chociaż siedział przy nogach dziewczynki, ale głowę spuścił, jakby nie słyszał i nie rozumiał co do niego mówiono, tylko się zamyślił bardzo poważnie.

— Zrobię cioci niespodziankę, poceruję tę pończoszkę, a choć jeszcze dobrze tego robić nie umiem, ba, nawet jeszcze nigdy, co prawda, pończoch nie cerowałam, ale przecież nie taka to znów wielka historia.

I Niunia wzięwszy igłę, zaczęła robić wcale nieciekawę ścięg.

Tymczasem mama, nie mogąca się doczekać ani cioci Scholasi, ani córeczki którą posłała, rzekła do Jadzi:

— Moje dziecko, idź, proś cioci na herbatę i Niunię sprowadź.

Jadzia, otworzywszy drzwi do pokoju, lewie nie wybuchnęła śmiechem na widok Niuni, która chciała z całą powagą udawać ciocię Scholasię, a oczęta śmiały się dziecinną pustotą.

Jadzia chciała jęj zrobić przyjemność i rzekła:

— Proszę cioci na herbatę; a czy niema tu czasem Niuni?

— Nie, niema — odrzekła Niunia zmieniając głos — jeszcze tu dziś nie była.

(d. n.)

BOCIAN I WRONA.

Pewnego razu, wrona dobrze znana,

Zwróciła mowę do pana bociana:

„Powiedz mi szczerze, drogi przyjacielu,

Co tu przebywasz już od lat tak wielu,

Skąd to pochodzi, iż zawsze i wszędy

Wszyscy dla ciebie wielkie mają względy?

Każdy cię lubi i każdy szanuje,

A mnie nie cierpi, srodze prześladuje,

Choć ja nic złego nikomu nie robię,

Tylko, gdym głodna, pamiętam o sobie.

Powiedz mi, proszę, bocianie szczęśliwy,

Czemu świat dla mnie tak niesprawiedliwy?”

Bocian, co gniazdo miał swoje na bronie,

Odrzekł w ten sposób biadającą wronie:

„Gdy tyle we mnie pokładasz ufności,

To muszę prawdę powiedzieć jejmości,

Niechaj się jednak jejmość nie obraża...

Mnie każdy rolnik ceni i poważa,

Każdy gospodarz jest dla mnie łaskawy,

Bo w lecie z gadów oczyszczam mu stawy,

Wszelkie bagniska, a nawet kałuże;

Słowem, jak mogę, dziobem moim służę.

Ty zaś przeciwnie, ziarna chciwa wrono,

Chodzisz za pługiem, za radłem, za broną,

I często wielkie robisz szkody w roli.

Alboż to jejmość sobie nie pozwoli